



Harlequin®

GWIAZDY ROMANSU



Penny
JORDAN
TYLKO MY DWOJE

Penny
JORDAN

TYLKO MY DWOJE

Tłumaczyła
Zuzanna Pytlińska

Tytuł oryginału: Passionate Possession

Pierwsze wydanie: Harlequin Mills&Boon Limited, 1992

Redaktor serii: Grażyna Ordęga

Opracowanie redakcyjne: Krystyna Barchańska-Wardęcka

Korekta: Małgorzata Narewska, Krystyna Barchańska-Wardęcka

© 1992 by Penny Jordan

© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2011

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy Wydawnictwa Harlequin i serii Harlequin Gwiazdy Romansu są zastrzeżone.

Wydawnictwo Arlekin – Harlequin Enterprises sp. z o.o.
00-975 Warszawa, ul. Starościańska 1B lokal 24-25

Skład i łamanie: COMPTExT[®], Warszawa

ISBN 978-83-238-8244-2

Gwiazdy Romansu

ROZDZIAŁ PIERWSZY

– Oczywiście, że jeszcze go nie poznałam, ale z tego, co powiedział mi o nim Don, wynika, że może być cennym nabytkiem dla naszej społeczności. Jest bardzo zamożny, wpływowy, zakłada u nas dużą firmę, co na pewno będzie z pożytkiem dla miasta. Szkoda, że jest już z kimś związany. Nie w sensie formalnym, ślubu nie mają, ale mieszkają razem, a w każdym razie będą mieszkać, jak tylko ona wróci z Nowego Jorku. Podobno została tam oddelegowana służbowo, czy coś w tym rodzaju. Zorganizujemy jakieś małe przyjęcie... na osiem, może dziesięć osób, żeby go wprowadzić w tutejsze środowisko, i oczywiście chcielibyśmy, żebyś ty też przyszła. Lucy, czy ty mnie słuchasz?

Lucy zmusiła się do uśmiechu.

– Ależ tak, Verity, oczywiście. Mówisz o nowym kliencie Dona.

– Tak. Mówiłam o nim, ale nie wydaje mi się, żebyś słuchała zbyt uważnie – stwierdziła Verity.

– Mam wrażenie, że wciąż martwisz się tym głupim starcem. Powiedz szczerze, Lucy, dlaczego właściwie nie sprzedasz tej nieruchomości i...

– Nie mogę jej sprzedać, bo on jest stałym lokatorem – przerwała jej spokojnie Lucy – a poza tym nie mam pieniędzy, żeby przeprowadzić niezbędne prace remontowe.

– On musi to wiedzieć. Założę się, że dlatego wciąż narzeka – powiedziała Verity.

– Narzeka, bo ma do tego pełne prawo – wyjaśniła cierpliwie Lucy. – Dom jest w kiepskim stanie, ale nie mogę wziąć kredytu pod jego zastaw, a nie mam innych możliwości zdobycia pieniędzy. Chyba że sprzedam swoje mieszkanie.

– Ależ nie wolno ci tego zrobić – zaprotestowała gwałtownie Verity. – Gdzież, na Boga, się podziejiesz?

Lucy potrząsnęła głową. Verity miała wprawdzie dobre serce, ale była dość egocentryczna i w dodatku trochę rozpieszczona. Nigdy w całym swoim życiu nie miała większych problemów finansowych.

Lucy wiedziała, że przyjaciółce trudno wczuć się w jej sytuację i gdyby nie fakt, że Don, mąż

Verity, był jej szefem, a na dodatek w czasach, gdy żyli jej dziadkowie, rodzina Lucy należała do najzamożniejszych i najbardziej prominentnych w okolicy, Verity prawdopodobnie nigdy by jej nie zaakceptowała towarzysko.

Teraz nie żyli już ani dziadkowie Lucy, ani jej rodzice, i wszystko, co pozostało z ich dawnego majątku rodzinnego, to mała, podupadająca wiejska posiadłość, którą Lucy odziedziczyła niedawno po jednej z dalekich kuzynek.

Wpadła w panikę, gdy notariusz kuzynki przekazał jej tę wiadomość. Oczywiście знаła ten dom, ale była przekonana, że kuzynka już dawno go sprzedała swemu długoletniemu najemcy. Wiadomość, że tego nie zrobiła i że teraz ona, Lucy, jest jego właścicielką i odpowiada za konieczny remont, zaszokowała ją i bardzo zmartwiła.

Z wahaniem zasugerowała, żeby może stary pan Barnes rozważył kupno domu, ale list, który od niego otrzymała, nie pozostawiał wątpliwości, że lokator nie ma najmniejszego zamiaru niczego kupować, a już na pewno nie kwapi się do wydawania pieniędzy na remont domu, skoro to ona powinna go przeprowadzić.

Lucy zasięgnęła, gdzie mogła, rady i doszła ostatecznie do wniosku, że znalazła się w sytuacji bez wyjścia. Jest niekwestionowaną właścicielką posesji i koniec.

Gdyby była typem osoby, która łatwo daje upust łzom, od razu by się rozpląkała. Tak bardzo walczyła, żeby poukładać jakoś swoje życie po straszliwym wypadku, w którym zginęli jej rodzice. Miała wtedy siedemnaście lat i całą przyszłość przed sobą. Rodzice nie byli bogaci, ale po przeanalizowaniu swojej sytuacji uznali, że przy oszczędnym gospodarowaniu mogą sobie pozwolić na wysłanie jej na studia.

Z chwilą ich śmierci stało się to niemożliwe. Ojciec Lucy był kochającym mężem i ojcem, i uroczym człowiekiem, ale raczej niepraktycznym. Nie był nawet odpowiednio ubezpieczony. Dom, w którym mieszkali, miał obciążoną hipotekę i Lucy szybko sobie uzmysłowiła, że bardziej niż skromny spadek po rodzicach nie pozwoli jej w żadnej mierze na podjęcie studiów.

W pierwszej chwili była zbyt zaszokowana i przepelniona zbyt wielkim bólem po stracie rodziców, by móc myśleć o przyszłości... o swojej przyszłości. Ale, tak jak to zwykle bywa, nadszedł czas, gdy uświadomiła sobie, że nie może dłużej mieszkać u zaprzyjaźnionej rodziny, która ją przygarnęła, że ta żałośnie mała suma pieniędzy, która spoczywała na jej koncie w banku, kiedyś się wyczerpie i że najwyższa pora, żeby jakoś zaplanować swoje dalsze losy.

Zapisała się na kurs dla asystentek biurowych,

łączący umiejętności prowadzenia sekretariatu z obsługiwaniem komputera. Był to drogi kurs intensywny, ale wart zachodu. Dał jej solidne podstawy w obu dziedzinach. Dodatkowo kontynuowała naukę języków, których uczyła się w szkole, tak że wkrótce posługiwała się biegle niemieckim i francuskim.

Początkowo zamierzała rozejrzeć się za pracą w Londynie, ale choć nęciła ją dobra pensja, doszła do wniosku, że ze względu na bardzo wysokie koszty utrzymania w stolicy z trudem wiązałyby koniec z końcem. Zdecydowała się więc podjąć pracę młodszej asystentki w rodzinnej miejscowości i za radą swego notariusza przeznaczyła skromny spadek na kupno niewielkiego mieszkania w zaadaptowanym przez dewelopera dawnym dużym domu w stylu wiktoriańskim na obrzeżach miasta.

Była to, jak teraz oceniała, jedna z najlepszych rad, jakiej ktoś mógł jej udzielić. Biorąc pod uwagę aktualne ceny nieruchomości, teraz nie mogłaby sobie pozwolić na kupno nawet tak skromnego mieszkania.

Don dobrze jej płacił, mieszkała wygodnie, poruszała się małym samochodem, co roku jeździła na urlop za granicę, bawiła się w gronie przyjaciół i nawet od czasu do czasu mogła zaszaleć, kupując sobie jakiś drogi ciuch. Nie

miała jednak najmniejszych szans na zdobycie kilku tysięcy funtów, żeby wyremontować dom po kuzynce Emily.

Na jej oszczędności składały się niewielki fundusz emerytalny i kilkaset funtów na lokacie bankowej.

Lucy nie uważała siebie za osobę ubogą czy borykającą się z przeciwnościami losu. Bądź co bądź miała dobrą i przyjemną pracę, zatrudniał ją człowiek, którego lubiła i który nie ukrywał, że ceni jej profesjonalizm i umiejętności. Miała wypróbowanych przyjaciół, dość pieniędzy na utrzymanie i cieszyła się dobrym zdrowiem.

Miała też swoją dumę, coś, co odkryła w ciągu tych strasznych miesięcy po śmierci rodziców, kiedy nagle usłyszała, jak mówią o niej „to biedne dziecko”, i zorientowała się, że ludzie jej współczują, że litują się nad nią. I że chyba winią jej rodziców za to, iż nie pomyśleli o tym, żeby na wszelki wypadek lepiej ją zabezpieczyć.

Dochodziły ją nawet słuchy o wymienianych po cichu komentarzach, jak to się mogło stać, że rodzina tak niegdyś zamożna i prominentna w lokalnej społeczności mogła tak nisko upaść, tak jakby jej biedni rodzice byli odpowiedzialni za rozplnięcie się ich majątku, co, jak wiedziała, absolutnie nie było prawdą.

Chciała bronić rodziców, powiedzieć ich przy-

jaciółom, że ani ojciec, ani matka nie uważali pieniędzy za najważniejszą rzecz w życiu, ale mimo jej siedemnastu lat wszyscy wciąż traktowali ją jak dziecko.

Postanowiła więc znaleźć jakiś sposób, żeby stanąć na własnych nogach. Teraz własna niezależność stała się nieomal jej obsesją, z czego niekiedy troszkę podkpiwali jej przyjaciele, którzy nie musieli zmagać się z podobnymi problemami.

Być może była trochę za bardzo niezależna, za bardzo zdecydowana pokazać, że sobie sama poradzi, ale jej przyjaciele nigdy nie byli w takiej sytuacji jak ona, nigdy z dnia na dzień nie stwierdzili, że nie są już kochanym i otoczonym opieką dzieckiem troskliwych rodziców, lecz że zostali zupełnie sami na świecie i mogą polegać wyłącznie na sobie.

Gdyby dziś ktoś ją zapytał, czy już jest wolna od kompleksu sieroty, Lucy szybko by odpowiedziała, i wierzyła, że szczerze, iż w wieku dwudziestu sześciu lat całkowicie wyzwoliła się z traumy spowodowanej stratą rodziców i w rezultacie wyzbyła się swojego przewrażliwienia na tle emocjonalnym i materialnym. Jednak szok spowodowany niespodziewanymi problemami, które pojawiły się w związku z nieoczekiwanym i niechcianym spadkiem, zachwiały tą jej wiarą. Znowu była podatna na zranienia i znowu czuła lęk, do

tego stopnia, że złamała jedną ze swoich niepisanych reguł i zwierzyła się z kłopotów Donowi.

Jako księgowy ostrzegł ją przed problemami, które mogą wyniknąć w związku z oplakany stanem budynku i jego lokatorem. Jako przyjaciel starał się ją pocieszyć najlepiej jak umiał i niestety, jako mąż Verity, powiedział o wszystkim żonie.

Lucy właściwie się tego spodziewała. Zresztą Verity była dobrą przyjaciółką, tyle że kochała plotki, więc Lucy podejrzewała, że w tej chwili mało kto w mieście nie wie o jej problemach z posiadłością, za sprawą Verity oczywiście.

Kłopot z Verity polegał na tym, że miała za dużo wolnego czasu. Obaj jej synowie uczęszczali do prywatnej szkoły poza miejscem zamieszkania, więc ona zajmowała się głównie chodzeniem po sklepach i plotkowaniem. Miała przy tym tendencję do koloryzowania, więc teraz Lucy znieruchomiała, słysząc, jak Verity wykrzykuje z oburzeniem i współczuciem zarazem:

– To wszystko wina Erica Barnes’a... to on ci przysparza tych wszystkich kłopotów... od lat mieszka w tym domu. Powinien był poskarżyć się twojej kuzynce.

– Robił to. – Lucy zachowała spokój. – Ale Emily była już zupełnie zdziecinniała. Nawet nie wiem, czy czytała jego listy, nie mówiąc już

o zrozumieniu tego, co pisał. Wiesz, że ją odwiedzałam. Ludzie w domu opieki byli bardzo uprzejmi, ale prawie ich nie poznawała, a co dopiero mnie.

– Ale musi być przecież jakieś wyjście z tej sytuacji – przekonywała Verity.

– Owszem, jest. Sprzedaż mojego mieszkania – powiedziała ponuro Lucy.

Wstała, odstawiając filiżankę z delikatnej chińskiej porcelany.

Don wyszedł w sprawach służbowych, a ona wpadła z paroma dokumentami, które dla niego przetłumaczyła. Don miał kilku klientów inwestujących w nieruchomości we Francji i to jej zadaniem było tłumaczenie korespondencji nadchodzącej stamtąd w sprawie tychże posiadłości.

– Och, musisz już iść? – zmartwiła się Verity.
– Nie skończyłam ci jeszcze opowiadać o Niallu Cameronie. Nigdy do głowy by ci nie przyszło, że jest Skoczem – dodała.

– Szkotem – poprawiła ją odruchowo Lucy.
– Skocz to whisky.

– Skocz... Szkot... co to ma za znaczenie?
– Verity wzruszyła ramionami, lekko rozdrażniona. – W każdym razie – dodała szybko – jak już ci wspomniałam, jest niewiarygodnie bogaty. Ma potężny biznes komputerowy, a teraz otwiera fabrykę niedaleko stąd, w tym nowym parku

przemysłowym na obrzeżach Tetfield. Kupił też farmę Hawkinsa...

– Tak, Verity, wiem – przerwała jej Lucy.
– Nie zapominaj, że pracuję u Dona – dodała cierpko.

– Oczywiście, ale nie było cię, kiedy to się wydarzyło. Nawet go jeszcze nie poznałaś – zauważyła Verity.

– Masz rację – zgodziła się Lucy.

Nieszczerólnie też zależało jej na poznaniu Nialla Camerona, stwierdziła z niesmakiem. Z tego, co o nim wiedziała, był typem mężczyzny, jakiego najbardziej nie lubiła. Arogancki... pewny siebie, uważający się za kogoś bardzo ważnego, przechwalający się swoimi dokonaniem.

Była zadowolona, że nie było jej w mieście, kiedy się pojawił, choć wszystko wskazywało na to, że nie uda jej się dłużej unikać spotkania z nim, tym bardziej że Verity miała swoje plany i organizowała to nieszczęsne przyjęcie zapoznawcze.

– Chciałabym, żeby Don kupił nam posiadłość we Francji – powiedziała Verity, teraz z lekko nadąsaną miną. – Wszyscy nasi przyjaciele tak robią. Wyobraź sobie, że kupujesz tam cudowne rzeczy prawie za bezcen. Martindale'owie na przykład kupili bajkowy zamek... z piętnastoma sypialniami – ekscytowała się.

– I bez ani jednej łazienki oraz bez bieżącej wody – dodała cierpko Lucy.

Orientowała się w tych sprawach. Ostatni miesiąc spędziła we Francji, pracując dla Dona jako jego przedstawicielka i równocześnie tłumaczka tych klientów, którzy zawierali transakcje we Francji.

To było sześć nerwowych tygodni, pełnych wyzwań i nowych zadań. Lucy była zadowolona z tej pracy, choć czasami trudno było jej zrozumieć postawę klientów Dona. Wielu z nich zdawało się nie mieć pojęcia, z czym łączy się zakup posiadłości we Francji.

W wielu przypadkach nieruchomości były praktycznie w ruinie, gdy tymczasem nowi właściciele z entuzjazmem mówili o tym, jak to będą tu spędzać letnie wakacje, podejmując szczodrze przyjaciół, którzy pospieszają z Anglii, żeby z zadośćcią podziwiać ich najnowsze nabytki.

To prawda, że byli i tacy klienci, którzy rzeczywiście zdawali sobie sprawę, w co się angażują, i byli gotowi poczynić wszelkie zmiany i udogodnienia konieczne, żeby mogli mieszkać w tych wiejskich posiadłościach. Ale większość...

Lucy westchnęła, przypomniawszy sobie wyraz twarzy pewnej kobiety, kiedy ta odkryła, że w jej domu z czternastego wieku nie ma ani urządzeń sanitarnych, ani prądu, a kiedy pada

deszcz, prowadząca do domu dróżka zmienia się w istne grzęzawisko, przez które jej nieskazitelna limuzyna prawdopodobnie nie byłaby w stanie przejechać.

– Muszę iść – powiedziała.

– Och... masz wieczorem randkę? – spytała Verity filuternie.

Lucy zdobyła się na wymuszony uśmiech.

– Tom zaprosił mnie do teatru – odrzekła.

– Tom Peters. Jest już rozwiedziony, prawda?

– Verity popatrzyła na nią zaintrygowana.

– Tak – przyznała spokojnie Lucy.

Przyjaźniła się z Tomem od dawna i wiedziała, że bardzo cierpi z powodu rozpadu swego małżeństwa. Lubiała go i bardzo mu współczuła, ale byli tylko i wyłącznie przyjaciółmi.

Lucy była tak samo ostrożna w sprawach uczuciowych, jak we wszystkich innych.

Bała się zakochać, jak zarzucił jej kiedyś pewien chłopak, z którym się spotykała jako nastolatka. Być może miał rację. Niewykluczone, że strata rodziców, która nastąpiła właśnie wtedy, w jakiejś mierze przyczyniła się do tego, że bała się podjąć ryzyko emocjonalne wiążące się z obdarzeniem kogoś uczuciem. A może bała się własnej natury, wiedząc, że pod pozorami spokoju i opanowania kłębią się w niej silne emocje i namiętności.

Idąc do drzwi, wzruszyła lekko ramionami. Miała dwadzieścia sześć lat i dobrze czuła się jako singielka. Czy to coś złego? Nie była typem kobiety, która potrzebuje stosunków seksualnych, nad kontakty fizyczne przedkładała relacje przyjacielskie z mężczyznami. I zawsze uczciwie i otwarcie o tym uprzedzała.

Raz czy dwa miała we Francji pewne problemy z tym związane, ale chłodny uśmiech i informacja, że nigdy nie łączy spraw służbowych z prywatnymi, szybko je rozwiązały.

Samochód zaparkowała obok cadillaca Verity.

– Co u licha podkusiło cię, żeby kupić auto w takim kolorze? – spytała Verity, gdy odprowadzała ją do samochodu i zobaczyła szarą karoserię małego forda.

– Podobał mi się – powiedziała Lucy. – Jest dyskretny i praktyczny.

Uśmiechnęła się, mówiąc to, bo wiedziała, że Verity nie zrozumie. Uwielbiała jaskrawe kolory i lubiła zwracać na siebie uwagę, co odpowiadało jej ekstrawertycznej naturze. Lucy była zupełnie inna.

Wolała trzymać się w tle, a nie w pierwszym rzędzie. Uśmiechnęła się, widząc różnicę w ich wyglądzie. Verity miała na sobie szkarłatny kostium, a na twarzy widoczny makijaż. Lucy była ubrana w kremową jedwabną bluzkę i prostą

beżową spódnicę. Równo przycięte proste brązowe włosy sięgały ramion, lśniąc zdrowym blaskiem. Makijaż był bardzo dyskretny i niemal niewidoczny. Jasna matowa cera nie wymagała podkładu, zaledwie muśnięcia różu wzdłuż policzków, żeby dodać im ciepła, oraz nieznacznego szarego cienia wokół oczu, żeby podkreślić ich kolor i migdałowy kształt. Lucy zawsze czuła się trochę skrępowana ze względu na ich żywy odcień turkusowego błękitu. Orzechowe, a jeszcze lepiej szare oczy znacznie lepiej pasowałyby do wizerunku, jaki sobie obrała. Kolor turkusowy wydawał się jej zbyt teatralny, za bardzo zauważalny.

Usta pociągnęła delikatnie różową szminką. Starła się jak najmniej je podkreślać, bo były według niej trochę za duże, a wargi zbyt pełne.

– Jak to jest, że zawsze wyglądasz seksownie, choć w ogóle się o to nie starasz? – spytała kiedyś jedna z jej przyjaciółek.

Lucy przeraziło to pytanie. Od czasu do czasu patrzyła niepewnie w lustro na własne odbicie, szukając z zakłopotaniem tego seksownego wyglądu, który, na szczęście, dla niej nie był taki oczywisty.

Jaki miał być ten jej wizerunek? Chciała być miło wyglądającą, łagodną kobietą, która rzadko pozwala innym zbliżyć się do siebie na tyle, żeby

mogli odkryć, ile niekiedy kosztowało ją zachowanie na zewnątrz tej pogody ducha.

Wsiadła do samochodu i włączyła silnik. Jej mieszkanie znajdowało się po drugiej stronie miasta, ale zamiast pojechać bezpośrednio i najkrótszą drogą, Lucy wybrała okrężną, omijającą zabudowania.

Wiejski dom, który odziedziczyła po kuzynce, był położony w pewnej odległości od miasta i stanowił jedyną pozostałość rozległej posiadłości ziemskiej i zabudowań farmerskich, należących niegdyś do jej rodziny. Duży dom, zbudowany jeszcze przez jej prapradziadka, został rozebrany krótko po wojnie, ale z tego, co widziała na fotografiach, wynikało, że nie było czego żałować. Był to raczej brzydki budynek, który jej ojciec zapamiętał jako wyjątkowo zimny i nieprzytulny.

Dom odziedziczony przez nią musiał pierwotnie stanowić część zabudowań farmy i prawdopodobnie został wzniesiony na mieszkania dla pracowników farmy i ich rodzin.

Otaczał go duży ogród, teraz zupełnie zapuszczony, przedstawiający istny obraz nędzy i rozpaczy.

Dla Erica Barnes'a był to jeszcze jeden powód do narzekań. Kuzynka Lucy, jako właścicielka posiadłości, powinna była coś zrobić z ogrodem, powiedział, kiedy Lucy go odwiedziła, próbując mu wytłumaczyć swoją sytuację.

Nie było to miłe spotkanie. Odniosła wrażenie, że Barnes nienawidzi kobiet. Zachowywał się agresywnie i nieprzyjemnie w stosunku do niej, wysuwając szereg niemożliwych do spełnienia żądań finansowych, ale niezależnie od całej antypatii, jaką od pierwszej chwili do niego poczuła, nie mogła nie przyznać, że dom rzeczywiście był w skandalicznym stanie.

Dach przeciekał, w związku z czym jedna sypialnia w ogóle nie nadawała się do użytku. Nie było porządnego ogrzewania, tylko staroświecki piec w kuchni i otwarte kominki w pokojach. Widok łazienki przeraził Lucy, gdy jej oczom ukazały się zagrzybione i pokryte pleśnią ściany oraz popękane, odpadające, brudne kafelki.

A co do kuchni... Podejrzewała, że przypuszczalnie korzystanie z niej było poważnym zagrożeniem dla zdrowia, ale w tym wypadku była to wina nie tylko ogólnego stanu budynku, ale i lokatora.

Eric Barnes zauważył zdegustowane spojrzenie, jakim obrzuciła kuchnię. Lucy nie zdążyła dostatecznie szybko ukryć niesmaku malującego się na jej twarzy, gdy zobaczyła tłustą, szarą wodę w misce do zmywania naczyń i resztki jedzenia na stole, wyglądające, jakby wały się tam od tygodni.

Barnes natychmiast ją wyśmiał i zaczął z niej drwić, robiąc całkowicie nieuzasadnione komentarze na temat jej domniemanego bogactwa i pozycji rodzinnej, a nawet grożąc, że ujawni jej zaniedbania lokalnej prasie.

Lucy była zaskoczona zawziętością tego człowieka. Przyjechała tutaj gotowa przeprosić za stan domu i wytłumaczyć lokatorowi swoje położenie, ale wobec jego stosunku do niej było to zupełnie niemożliwe.

Potem dowiedziała się, że Eric Barnes cieszył się opinią człowieka bardzo trudnego we współżyciu, który notorycznie prowadził wojny z wszystkimi miejscowymi agencjami opiekuńczymi, na przemian to domagając się ich usług, to rezygnując z nich z powodu nieuzasadnionych, pokrętnych zarzutów.

– On po prostu samą swoją obecnością powoduje kłopoty, to taki typ człowieka – powiedział ktoś ze współczuciem do Lucy, ale nie zmieniało to faktu, że dom po kuzynce na dobrą sprawę nie nadawał się do mieszkania i że nie Lucy była za to odpowiedzialna.

Jej notariusz delikatnie zwrócił uwagę na jej obowiązki jako właścicielki, dodając, że ze względu na stan umysłowy kuzynki wysuwanie w stosunku do niej jakichkolwiek roszczeń było niemożliwe, ale z Lucy sprawa wygląda inaczej.

– Ale co ja mogę? – spytała bezradnie.

Notariusz tylko potrząsnął głową. Oboje wiedzieli, że nic nie może zrobić. W każdym razie, dopóki nie sprzeda swego mieszkania.

Lucy zwolniła, dojeżdżając do posesji. Dom był cofnięty od głównej drogi, zatopiony w zarośniętym ogrodzie, otoczonym zielonymi polami. Powinien to być miły widok, gdy tymczasem...

Westchnęła, obrzucając wzrokiem budynek. Na piętrze okno ziało pustką w miejscach, gdzie najwyraźniej zniszczona framuga wypadła w czasie zimowych burz. Czarny polietylen, którego użyto do pokrycia, nie prezentował się atrakcyjnie. Resztki po ramach okiennych były wypaczone, farba łuszczyła się i odpadała płatami. W oknach na parterze widać było brudne siatkowe zasłony. Na murze z boku domu, gdzie widoczne były jakieś poważne defekty konstrukcyjne, widniało złowieszcze wybrzuszenie, a po drugiej stronie znajdowała się przybudówka z dachem z blachy falistej, która straszyla rdzą i dziurami.

To w tej przybudówce Eric Barnes przechowywał węgiel do kominka i teraz skarżył się Lucy, że przez ten dziurawy dach cały zapas zwilgotniał i nie nadawał się do użytku.

W ogrodzie, zarośniętym prawie całkowicie krzakami i jeżynami, wałały się zardzewiałe pojemniki na śmieci, które podobno były w domu, gdy

on się do niego wprowadził. Drewniana brama frontowa zwisała na zawiasach i butwiała.

Z ciężkim sercem Lucy przyspieszyła i odjechała. Nawet bez tego okropnego lokatora dom trudno byłoby sprzedać. Sprzedać? Trudno by było nawet go komuś podarować w jego obecnym stanie, przyznała w duchu.

Zacisnęła ręce na kierownicy. Próbowwała za wszelką cenę się rozluźnić. Była szczupła, drobnokościasta, ale ostatnio przyjaciele zaczęli robić jej uwagi, że wygląda trochę za mizernie, zbyt delikatnie.

To była cena jej pozornego spokoju, tego, że wszystko w sobie dusiła i że te zmartwienia kosztowały ją utratę kilku kilogramów. Na dalszą utratę nie mogła już sobie pozwolić. Wyglądałaby jak anorektyczka.

Dochodziła szósta wieczór i nagle uzmysłowiła sobie, że jeśli ma być gotowa, gdy Tom po nią przyjedzie, musi się pospieszyć. Objazd zajął jej zbyt dużo czasu.

Postanowiła pojechać skrótem przez nowe centrum biznesowe.

Burmistrz otworzył je przed niespełna rokiem i musiała przyznać, że było dobrze zaprojektowane i wyposażone, a w każdym razie będzie kiedyś, gdy nowo posadzone drzewa zaczną się rozrastać.

Teraz, w sobotnie popołudnie, panował tu